

PRZEŻYLIŚMY GROSS-ROSEN

**Tom II - Filie obozu koncentracyjnego
Gross-Rosen**

Zeszyt 6 - Komando Niesky

Na prawach rękopisu

**Związek Bojowników o Wolność i Demokrację
Dzielnica Warszawa-Śródmieście - Koło Nr 1
ul. Wiejska 11. 00-480 Warszawa tel. 296943**

Komisja Historyczna Środowiska Gross-Rosen

Warszawa 1987

OD REDAKCJI

Powstanie podobozu Niesky związane jest z pracą więźniów Gross Rosen w niemieckich zakładach Christoph und Unmack AG. Ponad tysiąc więźniów umieszczonych zostało w kilku drewnianych barakach. Panujące w podobozie warunki oraz wyczerpująca w zakładach praca, powodowały szybką utratę zdrowia i zdolności do pracy.

Najbardziej wyniszczeni więźniowie umieszczani byli w tzw. rewirze mającym uchodzić za obozowy szpital. Niewielkie pomieszczenie nie mogło pomieścić wszystkich chorych.

Do rewiru przydzielono więźnia-lekarza dr Leonarda Żychskiego. Brak środków leczenia zastępował troskliwym stosunkiem do chorych. Nie wystarczało to jednak dla uratowania życia wielu więźniów.

W miejsce pomordowanych dosyłano następne transporty. Dla ulżenia losu więźniów czynili takie wysiłki i inni więźniowie. Na niektórych funkcjach obozowych znaleźli się jednak pomocnicy SS-manów. Nad przestrzeganiem obozowego rygoru czuwał komendant, podoficer SS Wilhelm Seibold i Rapportführer Kirsch.

Tragedią więźniów była dalsza ewakuacja i los pozostawionych na rewirze.

W zamieszczonych wielu wspomnieniach ocalałych więźniów można wyczytać tragiczne losy więźniów Komando Niesky.

Załączony wykaz więźniów tego Komanda zawiera tylko 82 nazwiska, łącznie z listą ze szpitali wojennych Wojska Polskiego, w której mogą być nie tylko więźniowie Komanda Niesky.

OSTATNIM OBOZEM NIESKY

Aresztowany zostałem dnia 8 kwietnia 1943 roku w Łodzi pod zarzutem, że pracując jako pomocnik na kolei w Generalnej Guberni, przewoziłem nielegalne wydawnictwa organizacji podziemnych i skazano mnie, mimo braku jakichkolwiek dowodów, na rozprawie sądowej w sierpniu 1943 r. na rok i 6 miesięcy więzienia wyrokiem sądu specjalnego w Łodzi tzw. "Sondergericht". Początkowo, do sprawy, siedziałem w więzieniu przy ul. Kopernika, potem przeniesiono mnie do więzienia w Radogoszczu, z którego, już po wyroku sądowym, z końcem sierpnia 1943 roku przewieziony zostałem do stałego więzienia w Poznaniu odsiadując do końca zasądzony wyrok.

W październiku administracja więzienna przekazała mnie z powrotem do dyspozycji gestapo. Uwięziono mnie w Żabikowie - obóz pod Poznaniem. W początkach grudnia 1944 r. z grupą około 60 osób zostałem przewieziony dalej do obozu koncentracyjnego.

Do Gross-Rosen przyjechałem w więźniarce kolejowej. Wraz ze mną przywieziono ponad 100 osób. Więźniów nowych na trasie jazdy pociągu dosadzano na różnych stacjach. Już w Poznaniu, wsiadając wyczułem, że inne cele więźniarki były zajęte. Wagon-więźniarka posiadał wiele przedziałów-/celi/ więziennych o powierzchni około 1 m² z małymi okienkami oszklonymi szkłem zbrojonym, zamkniętymi na stałe. Do jednej celi wsadzano czasem więcej niż jedną osobę. Podróż trwała kilkadziesiąt godzin, przedłużana przez długie postoje na niektórych stacjach. Samotność wywoływała obrazy domu rodzinnego pozostawionego daleko w Warszawie, z którym kontakt straciłem już dwadzieścia miesięcy temu. Od chwili aresztowania żadnych listów i wiadomości nie miałem. Jeszcze w celi więziennnej w Poznaniu współtowarzysze przeważnie poznaniacy znali język niemiecki i czasem zdobywali wiadomości o tym co dzieje się poza murami więzienia - na świecie, na frontach zachodnich i wschodnich. Tam jeszcze dowiedziałem się o wybuchu i upadku powstania w Warszawie, o tym, że miasto zostało bardzo zniszczone i że walka warszawiaków pociągnęła za sobą mnóstwo ofiar, a tych, co przeżyli Niemcy wypędzili z miasta.

Jadąc z Żabikowa w nieznanym kierunku, w klatce więziennnej, czekałem na dalszy los. Wiedziałem na pewno, że do domu rodzinnego prędko nie wrócę, być może nie wrócę nigdy. Myślałem o losach mojej matki i pozostawionych siostrach. Nie wiedziałem, czy żyją i jak żyją? Pragnąłem powrotu do domu, chciałem podzielić się z nimi tym, co już przeszło, a przede wszystkim umrzeć we własnym domu a nie na obczyźnie.

Pragnienia te stawały się coraz mniej realne. Po przyjeździe pociągu na stację w Gross-Rosen wagon z więźniami został otoczony przez oddział esesmanów, którzy po wypędzeniu ludzi z wagonu utworzyli z nich kolumnę i popędzili drogą do dość znacznie oddalonego obozu. Widok zbliżającego się obozu, jego

wynurzających się wież strażniczych, ogrodzeń z drutu kolczastego, drewnianych baraków pognębił mnie jeszcze bardziej. W miarę zbliżania się do obozu ujrzałem uzbrojonych w karabiny maszynowe esesmanów na wieżach strażniczych, podwójną sieć ogrodzeń z drutu kolczastego podłączonych do sieci wysokiego napięcia z gęsto rozstawionymi reflektorami. Wielka brama wjazdowa, prowadząca na teren obozu, górująca nad sąsiadującymi po obu stronach barakami drewnianymi administracji obozowej i całym otoczeniem, wymownie wskazywała grozę obozową, jakby przemawiając, że zza tej bramy z powrotem wyjścia na wolność być nie może. Przekraczając bramę odczułem dalszą grozę. Wyrósł przed nami duży plac zwany apelowym, w głębi widniały szeregi baraków więźniarskich, a z lewej strony placu stały baraki przeznaczone dla przyjmowania nadchodzących stale transportów.

Kolumnę naszą zatrzymano na placu apelowym. Po wielogodzinnym oczekiwaniu, po wysłuchaniu uświadamiającego przemówienia znaczniejszego rangą oficera esesmańskiego, przystąpiono do szczegółowego oczyszczania nas z wyglądu ludzi cywilizowanych i wolnych. Zmuszeni zostaliśmy do przekazania do depozytu wszystkiego co ktoś posiadał, odebrano nam całą odzież cywilną i bieliznę, a następnie, poddano grupowo kąpeli natryskowej pod gorącą wodą na zmianę z bardzo zimną - podczas kąpieli już zaczynano bić więźniów nahajkami na gołe ciała, następnie poddani zostaliśmy strzyżeniu głów, wygoleniu miejsc owłosionych i dodatkowo wygolono nam na głowach podłużny pas szerokości około dwóch centymetrów, znamienny dla więźniów obozów koncentracyjnych, potem następowała dezynfekcja miejsc krocza i pod pachami ostrym środkiem piekącym. Na zakończenie przebrano nas w ubrania-pasiaki: bluza, spodnie i czapka z naszytym numerem, oznaczającym więźnia, z czerwonym trójkątem i literą P. Otrzymałem wówczas numer 85650.

Staliśmy się odtąd niepodobni do samych siebie, bo i pasiaki, włosy ogolone, wystraszeni i wybladli, zmęczeni i zmizеровani, staliśmy się tylko przedmiotem numerowanym, a numer zastępował już na trwałe w użyciu codziennym administracji obozu nazwiska więźniów.

Po tych czynnościach przeszliśmy do bloku na kwatery tymczasowe, zajmując pomieszczenie tzw. sztuby. Sztuba, do której trafiłem o powierzchni około trzydziestu metrów kwadratowych musiała zmieścić dużą ilość więźniów. Było tak ciasno, że spało się na podłodze na wpół w kucki, bez sienników, koców do przykrycia i żadnych prycz drewnianych czy łózek. W następnych dniach stopniowo rozdzielano nas, wywołując numerami na różne baraki robocze zwane blokami, rozmieszczonymi w głębi obozu oraz szykowano do dalszych transportów do innych podobozów rozmieszczonych w terenie. Wyżywienie było bardzo skąpe, mało kaloryczne.

Takie warunki życia obozowego odebrały mi całkowicie nadzieję powrotu kiedyś do normalnego życia wśród ludzi wolnych i niezależnych, przeżycia tych koszmarnych przyszłych dni oczekujących mnie w obozie, powrotu do Ojczyzny i domu rodzinnego. Jednak iskierka nadziei jeszcze gdzieś tam się kołatała zaproszona podczas drogi do obozu z przeprowadzanych szeptem rozmów z towarzyszami niedoli, którzy od niedawna znaleźli się w szponach hitlerowców. Opowiadali o klęskach Niemców na wszystkich frontach, o dotarciu wojsk radzieckich nad brzegi Wisły, o wy-

zwoleniu prawobrzeżnej Warszawy-Pragi i szykującej się wielkiej ofensywie zimowej, która miała ostatecznie zniszczyć hitleryzm, a skok armii radzieckiej do naszych drutów obozowych nie jest dla niej taki trudny i długi. Ostateczne zwycięstwo nad faszyzmem jest już przesądzone, talko my musimy przetrwać. Myśl o tym, przekonanie w szybkie zwycięstwo na froncie wschodnim łagodziło ból i gorycz oraz tęsknotę do wolności.

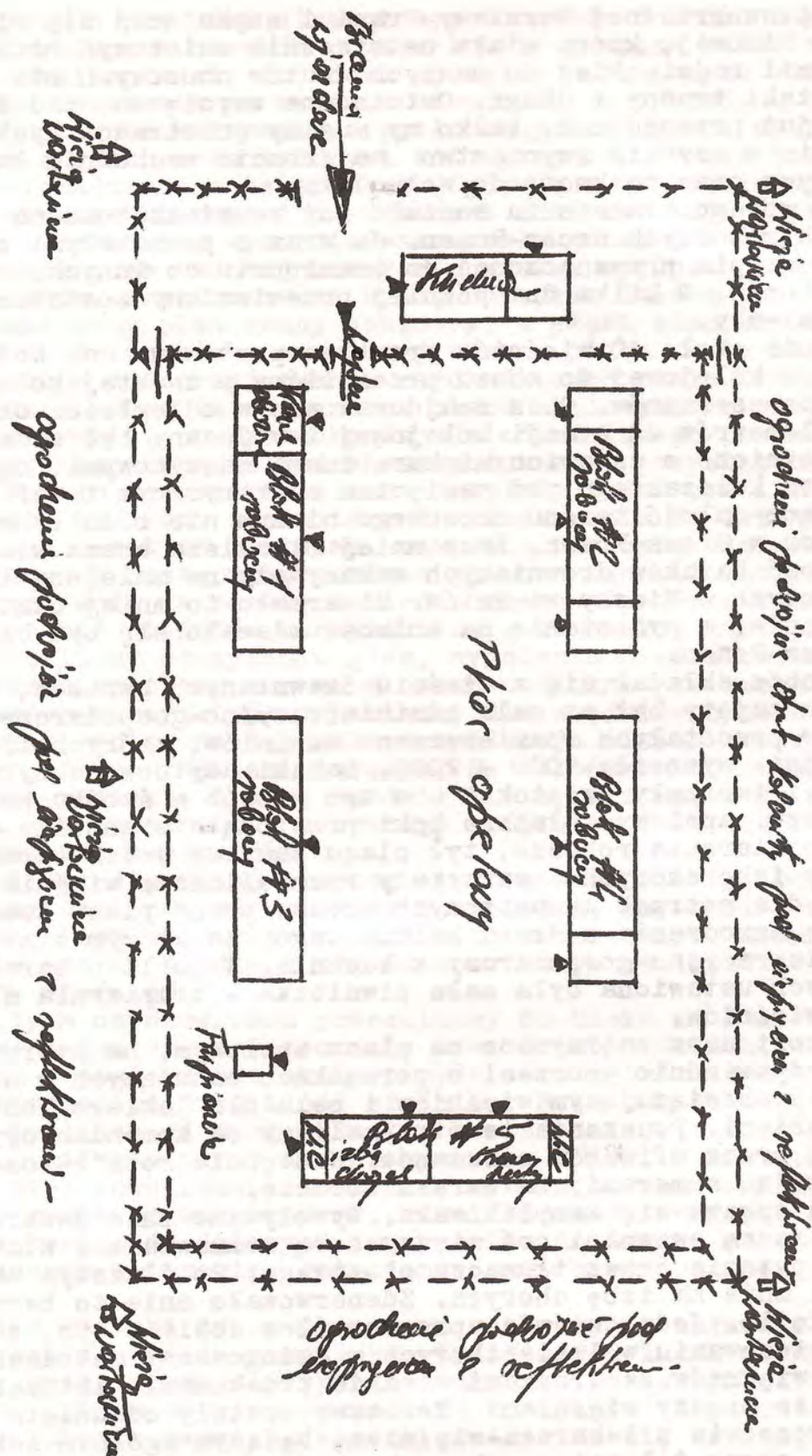
Część mojego transportu została już rozmieszczona na stałe w barakach roboczych Gross-Rosen. Ja wraz z pozostałymi znalazłem się w grupie przeznaczonej do transportu do innych, podległych podobozów. W kilka dni później przewieziony zostałem do podobozu Niesky.

W grupie około 40 więźniów przetransportowano nas kolejną, a od stacji kolejowej do obozu przeszliśmy w zwartej kolumnie pod eskortą esesmanów. Obóz znajdował się w odległości około trzech kilometrów od stacji kolejowej i widoczny był z daleka. Wieże strażnicze z ustawionymi karabinami maszynowymi, ogrodzenia z drutu kolczastego pod napięciem elektrycznym i reflektory, oświetlające całość terenu obozowego niczym nie różniły się od stosowanych w Gross-Rosen, lecz mniej okazała brama wjazdowa i mała ilość baraków drewnianych wskazywały na mniejszą liczbę przebywających w Niesky więźniów. Stwarzało to mniej odstraszaające wrażenie, a wydostanie na wolność zdawało się być bliższe niż w Gross-Rosen.

Cały obóz składał się z sześciu drewnianych baraków, z których jeden zajęty był na cele administracyjno-gospodarcze i kuchnię, w pozostałych rozmieszczono więźniów, których liczba orientacyjnie wynosiła 1000 - 2000. Baraki usytuowane były w odstępach i tworzyły prostokąt - w ten sposób w środku powstawał plac tzw. apelowy. Dłuższe boki prostokąta stanowiły dwa baraki więźniarskie robocze, tył placu zamykał jeden barak, mieszczący izbę chorych i warsztaty rzemieślnicze więźniarskie pracujące dla potrzeb wewnętrznych obozu, przód placu tworzyło pojedyncze ogrodzenie z drutu kolczastego, za którym stał barak administracyjno-gospodarczy z kuchnią. W pobliżu baraku izby chorych ustawiona była mała piwniczka - trupiarnia dla zmarłych więźniów.

Transport nasz zatrzymano na placu apelowym, na którym zostaliśmy odpowiednio pouczeni o porządkach panujących w obozie, regulaminie obowiązującym więźniów i celu dla jakiego zostaliśmy tu przywiezieni. Pouczenia te otrzymaliśmy od komendantury obozu wygłoszone przez oficerów esesmanów. Następnie rozmieszczono nas, wywołując numerami, na baraki robocze.

Ze mną sprawa się komplikowała. Wywoływano mnie dwukrotnie, za każdym razem esesmani coś między sobą rozmawiali i stawiali mi dziwne pytania przez tłumacza obozowego. Po dłuższym namyśle skierowali mnie na izbę chorych. Zdenerwowało mnie to bardzo i zaniepokoiło. Jednocześnie uprzytomniłem sobie o tym, że słyszałem o stosowaniu w izbie chorych w Radogoszczy metodach uśmiercania więźniów zastrzykami - takie przekonanie istniało w każdym razie między więźniami. Te obawy zostały odsunięte dopiero po mojej rozmowie z lekarzem-więźniem, będącym ogólnym lekarzem dla całego obozu i leczącym chorych w tutejszej izbie. Lekarz okazał się bardzo życzliwym i wyrozumiałym człowiekiem. Podczas rozmowy z nim przypomniałem sobie, że będąc, przed wyjazdem do



Szkic sytuacyjny Obozu Niesky
opracowany przez Stefana Malino-
wskiego. Nr arch. Gross-Rosen 3.20.1.2.

obożu w Gross-Rosen, w Żabikowie, w baraku w którym przebywałem wybuchła choroba zakaźna - tyfus. Byliśmy tam odizolowani przez jakiś czas, po którym poszedłem w transport. Będąc na izbie chorych na kwarantannie dowiedziałem się, że lekarz przeprowadzający ze mną rozmowę nazywał się dr Leonard Żychski. Wydał orzeczenie o mojej zdolności do pracy bez żadnych zastrzeżeń, lecz mimo to, decyzją komendanta obozu zastosowano w stosunku do mnie kwarantannę, kierując mnie na izbę chorych. W izbie chorych w przeciągu kilku godzin odgrodzone zostało ściankami drewnianymi sięgającymi do sufitu jedno łóżko. Powierzchnia powstałej w ten sposób izolatki nie przekraczała trzech metrów kwadratowych. Oświetlenie dzienne uzyskano z wąskiego pasa przedzielonego ścianką okna, a wieczorem przebijające między szparami desek światło elektryczne z sali chorych było dla mnie oświetleniem. W takim pomieszczeniu, którego wielkość pozwalała mi jedynie na stawianie dwóch kroków w przód i z powrotem, spędziłem około trzech tygodni. Fakt, że zostałem zamknięty w izolacji upewnił mnie, iż nie zostanę zabity zastrzykiem.

Na moje lepsze samopoczucie wpłynęło także porównanie Gross-Rosen z obozem, w którym teraz przebywałem - Niesky był o wiele mniejszy i nie posiadał krematorium.

W takim duchu mijały poszczególne dni, a Święta Bożego Narodzenia 1944 roku zdawały się przybliżać mnie do domu rodzinnego. Myślałem byłem z najbliższymi.

W dalszych dniach z wielką pomocą przyszedł mi dr Leonard Żychski, który po około dziesięciu dniach mojego odosobnienia w izolacji dopuścił mnie do wykonywania różnych robót porządkowych w izbie chorych, ostrzegając mnie jednocześnie, że kwarantanna nadal obowiązuje i muszę być bardzo ostrożny, abym nie został zauważony przez kogoś z niemieckiego personelu obozowego, bo może spowodować to poniesienie ostrych konsekwencji. Możliwość opuszczenia izolatki dała mi więcej ruchu, a praca oddalała prześladowające przykre myśli i poprawiała samopoczucie. Niestety, moja większa swoboda skończyła się któregoś dnia, kiedy zajęty pracą nie zauważyłem wchodzącego do izby chorych lagerelstera, Niemca - więźnia kryminalnego, który widząc mnie poza izolatką pobił dotkliwie i przykazał ściśle przestrzegać odosobnienia. Na szczęście moja kwarantanna dobiegała końca.

Przed ciężką pracą w zakładach uchroniło mnie zapalenie płuc, na które zapadłem tuż po zakończeniu izolacji. Już jako normalny chory pozostałem na izbie pod opieką lekarza, który, mimo braku lekarstw, swoimi umiejętnościami stosowania różnych zabiegów wyciągnął mnie z choroby tak, że przed ewakuacją obozu byłem zdolny do wykonywania różnych prac pomocniczych przy chorych.

W tym miejscu nie mogę przemilczeć działalności więźnia dr Leonarda Żychskiego, lekarza obozowego, którego nazwisko z pewnością pozostaje do dziś w pamięci więźniów. Niejedną noc spędzał bezsennie ratując umierających. Więźniowie byli wychudzeni, głodni, słabi, zmarznięci, potrzebowali pocieszenia i jakiejś iskierki nadziei, że przetrwają - tę niósł zawsze ze sobą nasz kochany lekarz obozowy. Cieszył się on wielkim szacunkiem i uznaniem w całym obozie, tak wśród więźniów Polaków jak i innych narodowości. Wiedzieli wszyscy, że dla niego nie było podziału klasowego ani narodowościowego. Wszystkim niósł jednakową pomoc. Krzywdy i nieszczęście ludzkie nie były mu obojętne, potrafił

upomnieć się w obronie więźnia przeciwstawiając się blokowym - kapo, którzy chętnie karali więźniów za różne przewinienia porządkowe. Jemu niejeden chory więzień zawdzięcza życie. Lekarstwa, które zdobywał podczas leczenia chorych esesmanów i ich rodzin gdyż Niemcy uważali go za dobrego lekarza i korzystali z jego wiedzy medycznej - przeznaczał na leczenie swoich chorych więźniów. Jego zapał i samarytańska praca przy chorych była przykładem i mobilizowała również pozostałych zatrudnionych na izbie chorych - Amanowicza i Surowca. Zobowiązywała ich do skrupulatnego przestrzegania reguł podawania chorym lekarstw i wykonywania zabiegów przy bardzo skromnych środkach zaopatrzeniowych.

Obóz Niesky był filią obozu koncentracyjnego Gross-Rosen. Więźniowie zatrudnieni byli w miejscowych zakładach przy różnych robotach dla potrzeb Niemiec. Ciężka praca, okropne warunki bytowania, nisko kaloryczne wyżywienie, licha odzież nieprzystosowana do warunków zimowych, słabo opalane baraki /bloki/ mieszkalne były powodem różnych szerszących się chorób wśród więźniów i pomimo wysiłków ze strony dr Żychskiego i pomocniczego personelu, przy odczuwalnym braku leków, śmierć zbierała wśród więźniów plony. Izba chorych w obozie była zbyt mała i niejednokrotnie nie mieściła wszystkich więźniów potrzebujących pomocy, część z nich pozostawała na swoich blokach mieszkalnych. Izba chorych zajmowała około osiemdziesięciu metrów kwadratowych, mieściła osiemnaście łóżek piętrowych, dostawianych do siebie parami, co umożliwiło w niektórych przypadkach ułożenie po trzech chorych na dwóch łóżkach i pozwalało na leczenie więcej niż trzydziestu sześciu więźniów.

Szybko postępująca ofensywa wojsk radzieckich budziła podniecenie i zaenerwowanie wśród niemieckiej administracji obozowej. Więźniów natomiast cieszyły dochodzące z dala odgłosy wybuchów rozrywających się pocisków artyleryjskich, warkoty przełatujących nad nami eskadr bombowców i myśliwców eskortujących wojska radzieckie, detonacje rozrywających się bomb lotniczych. Cieszyło, bo dodawało nowych sił do wytrwania i przeżycia, przybliżało wizję powrotu do normalnego życia w gronie rodziny i najbliższych.

Ale to nie było jeszcze takie proste. Otoczeni byliśmy żelaznym pierścieniem oddziału wartowniczego, składającego się z esesmanów pełnych nienawiści do każdego za klęskę, jaką ponosił hitleryzm. Życie nasze było niepewne, a sposób wyzwolenia przez wojska frontowe nie do przewidzenia. Naszym marzeniem było wyjść zza drutów obozowych, poza teren znienawidzonych baraków.

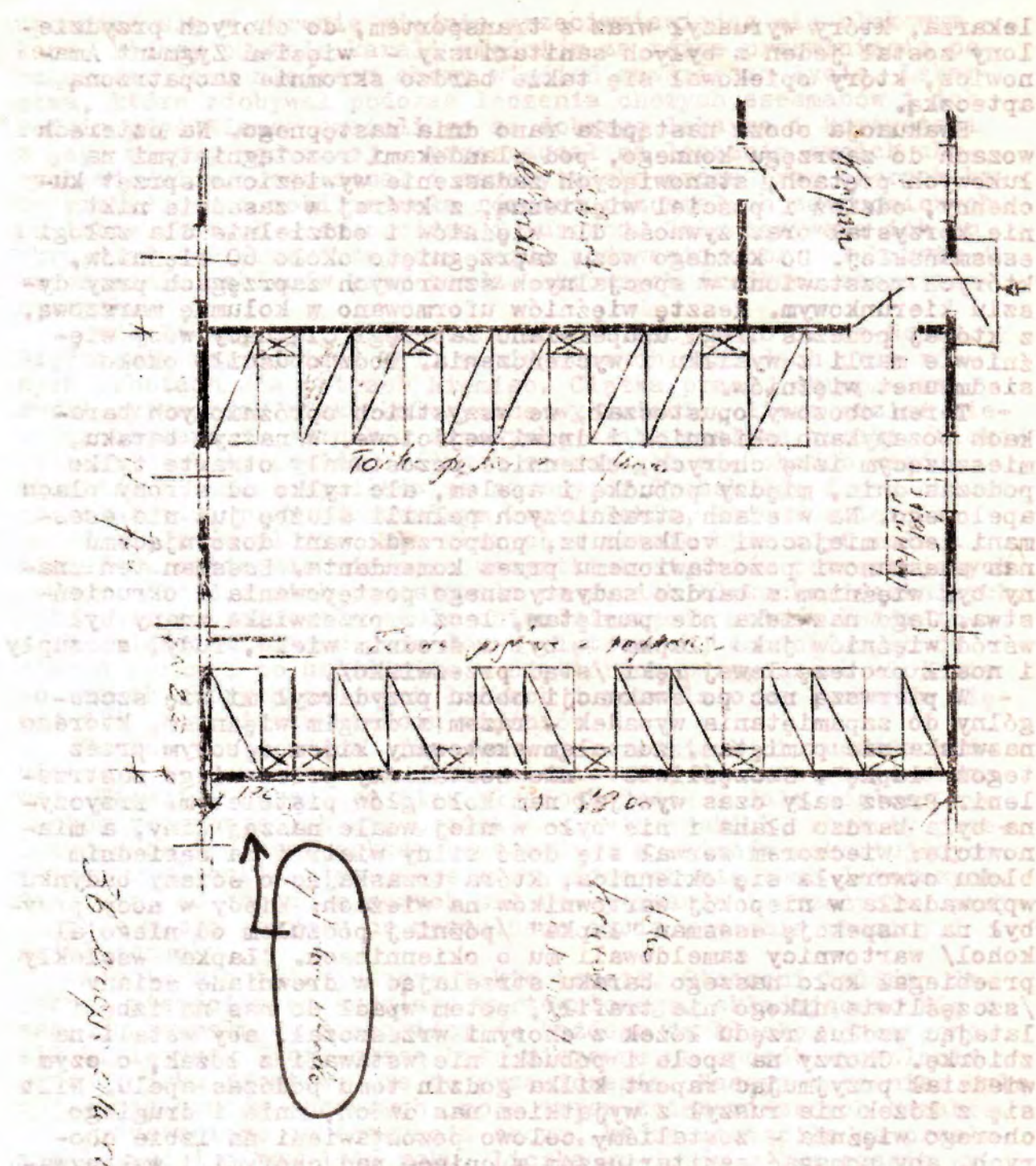
Przystąpiono do ewakuacji obozu, która nastąpiła na przełomie lutego i marca 1945 roku. Liczba więźniów w tym czasie wynosiła już tylko około 700. Przed wymarszem Niemcy przeprowadzili selekcję więźniów - nie nadających się do marszu przeniesiono na izbę chorych, którą powiększono dodając sąsiednie pomieszczenie krawców poprzez wyburzenie drewnianej ścianki, a krawców przesunięto na bloki robocze szykujące się do ewakuacji. Po ustawieniu łóżek wzdłuż ścian, zachowując przejścia od ścian i środkiem, umieszczono łącznie około osiemdziesięciu chorych, a łóżka zestawione ze sobą pozwoliły na położenie po trzech na dwóch łóżkach /w kilku przypadkach zachodziła taka konieczność/. Stan chorych był przeważnie ciężki, a i pozostali niezdolni byli do uciążliwego marszu. W obozie pozostałem i ja. W zastępstwie

lekarza, który wyruszył wraz z transportem, do chorych przydzielony został jeden z byłych sanitariuszy - więzień Zygmunt Amannowicz, który opiekował się także bardzo skromnie zaopatrzoną apteczką.

Ewakuacja obozu nastąpiła rano dnia następnego. Na czterech wozach do zaprzęgu konnego, pod plandekami rozciągniętymi na łożkowych prętach, stanowiących zadaszenie wywieziono sprzęt kuchenny, odzież i pościel więzienną, z której w zasadzie nikt nie korzystał oraz żywność dla więźniów i oddzielnie dla załogi esesmańskiej. Do każdego wozu zaprzęgnięto około 60 więźniów, których rozstawiono w specjalnych sznurowych zaprzęgach przy dyszlu kierunkowym. Resztę więźniów uformowano w kolumnę marszową, z której podczas drogi uzupełniano zaprzęgi. Ciągący wozy więźniowie marli z wysiłku i wycieńczenia. Obóz opuściło około siedmiuset więźniów.

Teren obozowy opustoszał, we wszystkich opróżnionych barakach pozamykano okiennice i drzwi wejściowe. W naszym baraku, mieszczącym izbę chorych, okiennice pozostawały otwarte tylko podczas dnia, między pobudką i apelem, ale tylko od strony placu apelowego. Na wieżach strażniczych pełnili służbę już nie esesmani lecz miejscowi volkschutz, podporządkowani dozoru nas esesmanowi pozostawionemu przez komendanta. Esesman ten znany był więźniom z bardzo sadystycznego postępowania i okrucieństwa. Jego nazwiska nie pamiętam, lecz z przezwiska znany był wśród więźniów jako "łapka" - był w średnim wieku, rudy, szczupły i nosił protezę lewej ręki /stąd przezwisko/.

W pierwszą noc po ewakuacji obozu przydarzył mi się szczególny do zapamiętania wypadek - razem z drugim więźniem, którego nazwiska nie pamiętam, zostałem skatowany kijem dębowym przez tegoż "łapkę". Szczęśliwie - nie zostaliśmy przez niego zastrzeżeni. Przez cały czas wywijał nam koło głów pistoletem. Przyczyna była bardzo błaha i nie było w niej wcale naszej winy, a mianowicie: wieczorem zerwał się dość silny wiatr i na sąsiednim bloku otworzyła się okiennica, która trzaskając o ściany budynku wprowadziła w niepokój wartowników na wieżach. Kiedy w nocy przybył na inspekcję esesman "łapka" /później poczułem od niego alkohol/ wartownicy zameldowali mu o okiennicach. "Łapka" wściekły przebiegał koło naszego baraku strzelając w drewniane ściany /szczęśliwie nikogo nie trafił/, potem wpadł do nas na izbę i latając wzdłuż rzędu łożek z chorymi wrzeszczał, aby wstali na zbiórkę. Chorzy na apele i pobudki nie wstawali z łożek, o czym wiedział przyjmując raport kilka godzin temu podczas apelu. Nikt się z łożek nie ruszył z wyjątkiem nas dwóch, mnie i drugiego chorego więźnia - zostaliśmy celowo pozostawieni na izbie chorych, aby pomagać sanitariuszom w opiece nad chorymi i wykonywaniu przy chorych i na izbie różnych prac porządkowych - o tym "łapka" wiedział. Widząc, że żaden z chorych nie wstaje, wypchnął nas dwóch za drzwi baraku i wrzeszcząc popędził do trzaskającej okiennicy, którą zamknęliśmy. W drodze powrotnej, przed samym wejściem do naszego baraku zaczął jeszcze bardziej na nas krzyczeć, przy czym wymachiwał pistoletem i przykładając go do naszych głów. Staliśmy bezradnie z przerażeniem oczekując na wystrzał, tym bardziej dla nas tragiczny, że prawie przed samym wyzwoleniem. Na szczęście skończyło się tylko wymierzeniem nam kary cielesnej - kijem dębowym dostaliśmy po dwadzieścia pięć razów na pośladki. Egzekutorem był "łapka", a bił silnie i zamaszyście.

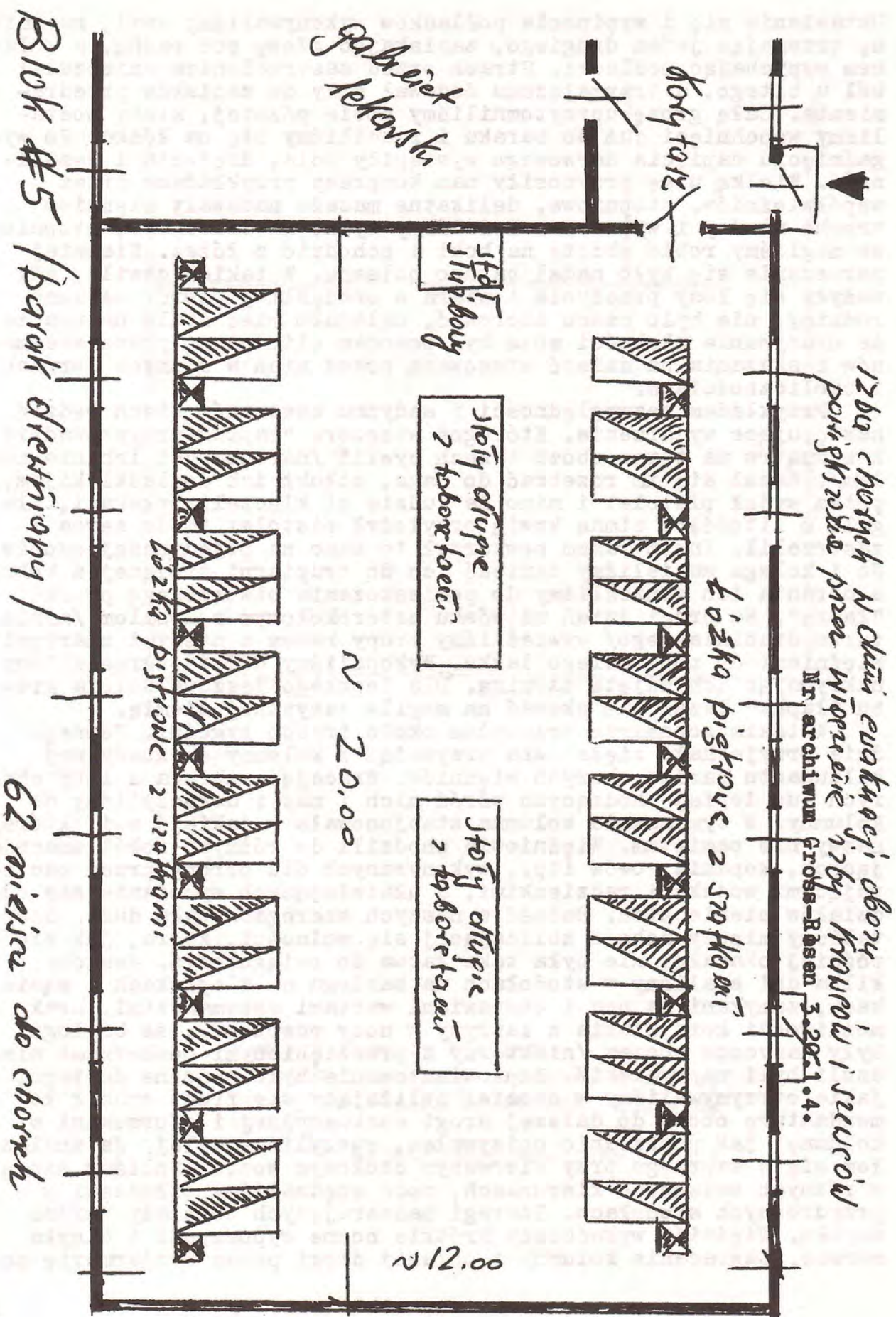


Rewir w Komando Niesky.
 Strzałką oznaczono izolatkę w której
 przebywał Stefan Malinowski chory na
 tyfus.
 Nr archiwum Gross-Rosen 3.20.1.3

Ustawianie się i wypinanie pośladków wykonywaliśmy sami, na zmianę trzymając jeden drugiego, zaciskając głowę pod pachą, a kolanem wypychając pośladki. Strach przed zastrzeleniem znieczulił ból u bitego, a trzymającemu dodawał siły do zacisków przedramienia. Całą grozę uprzytomniliśmy sobie później, kiedy zostaliśmy wepchnięci już do baraku i rzuciliśmy się na łóżka. Po wygaśnięciu napięcia nerwowego wystąpiły bóle, drętwota i bezsilność. Wielką ulgę przynosiły nam kompresy przykładane przez współwięźniów. Stopniowe, delikatne masaże nadawały mięśniom trochę władzy i wyczucia. Leżeliśmy tylko na brzuchach, stopniowo mogliśmy robić obroty na boki i schodzić z łóżek. Niemniej poruszanie się było nadal bardzo bolesne. W takiej chwili, gdy ważyły się losy przeżycia i wiara w szczęśliwy powrót na łono rodziny, nie było czasu chorować, należało mieć stale na uwadze, że okazywanie słabości może być powodem eliminacji przez esesmanów i skazania na śmierć stosowaną przez nich w różnych formach i okolicznościach.

Przykładem bezwzględności i sadyzmu esesmanów niech będzie następujące wydarzenie. Któregoś wieczoru "łapka" przyprowadził z zewnątrz na teren obozu trzech cywili /narodowości ich nie znam/. Kazał się im rozebrać do naga, stłukł ich pośladki kijem, potem wyjął pistolet i mimo że ludzie ci klęczeli, płakali, błagali o litość, z zimną krwią przyłożył pistolet im do serca i zastrzelił. Innym razem powtórzył to samo na pojedynczej osobie. Ja i kolega musieliśmy zanieść ich do trupiarni stojącej z boku, a ubrania ich zanieśliśmy do pomieszczenia utworzonego przez "łapkę". Na drugi dzień na wózku czterokołowym z dyszlem /miniaturka drabiniastego/ wywieźliśmy trupy razem z naszymi zmarłymi więźniami do pobliskiego lasu. Wykopaliśmy dół i pogrzebaliśmy nakrywając ich zdjętą darnią. Dla lepszego jeszcze ubicia grobu "łapka" kazał nam skakać na mogile zasypanej ziemią.

W takim koszmarze przeżyłem około trzech tygodni. Pewnego dnia przyjechała ciężarówka przywożąc z kolumny ewakuacyjnej kilkunastu bardzo chorych więźniów. Wracając zabrała z izby chorych już lepiej chodzących wśród nich i nas i dołączyliśmy do kolumny. W tym czasie kolumna stacjonowała w jakiejś wsi, której nazwy nie pamiętam. Więźniowie chodzili do różnych robót umacniających, kopania rowów itp., wykonywanych dla obrony przed nacierającymi wojskami radzieckimi, a ułatwiających wycofanie się oddziałów niemieckich. Radość w naszych szeregach była duża. Szepotaliśmy między sobą o zbliżającej się wolności, która, jak się później okazało, nie była taka łatwa do osiągnięcia. Jeszcze kilka dni spaliśmy w stodołach na barłogu na klepiskach i sasiadkach, zamykani na noc i obstawiani wartami esesmańskimi. Brak możliwości korzystania z latryny w nocy powodował, że barłogi były nasyczone moczem /niektórzy z przeziębionymi pęcherzami nie czuli byli na wycieki/. Zaprowiantowanie było podobne do tego, jakie otrzymywaliśmy w obozie. Zbliżający się front zmusił komendanturę obozu do dalszej drogi ewakuacyjnej i sformowani w kolumnę, jak poprzednio opisywałem, ruszyliśmy dalej. Ja znalazłem się w zaprzęgu przy pierwszym czołowym wozie. Szliśmy szosą w różnych zmiennych kierunkach, nocie spędzaliśmy stłoczeni w przydrożnych stodołach. Szeregi maszerujących topniały bardzo szybko. Więźniów wykańczały krótkie nocne wypoczynki i ciągłe marsze. Zawracanie kolumny z obranej drogi przez żandarmerię po-



lową oznaczało, że prawdopodobnie, co się później zresztą potwierdziło, byliśmy w kotle. Do ciągnięcia wozów zaczynało brakować więźniów. Kolumna pierwsza rezerwowa już się skończyła, słabych eskorta wyciągała po drodze z szeregów i zabijała wystrzałem z pistoletu, a zwłoki grzebano na przydrożach.

Mam stale przed oczyma koszmarny widok, jaki przydarzył się w ostatnich dniach naszego marszu. Na przedmieściu jakiegoś miasteczka /okolice Bautzen/ zmarłych nie było gdzie grzebać, więc wrzuceni zostali na przykrywające wozy plandeki i tak przejechaliśmy przez miasteczko. Wzdłuż chodników zbierała się ludność niemiecka, kobiety, dzieci i młodzież w różnym wieku. Jedni rzucali w nas kamieniami i opluwali wymyślając nam od bandytów i żądając dla nas śmierci. Widziałem również osoby roniące łzy politowania. Po minięciu miasteczka zmarłych pogrzebano.

Natomiast bardzo miłym dla nas widokiem był obraz zbombardowanego lotniska niemieckiego. Przechodząc opodal widzieliśmy palące się jeszcze hangary i samoloty niemieckie, a artyleryjskie pociski przelatywały tuż nad naszymi głowami. Widzieliśmy na twarzach eskortujących nas esesmanów zdenerwowanie i lęk. My - przeciwnie - czuliśmy radość i nadzieję.

Po tej widzianej przez nas klęsce hitleryzmu i blaskach zwycięstwa armii radzieckiej przez nasze szeregi przeszła nagle fala grozy. Któryś z naszych więźniów podchwycił tajemnicze rozmowy między eskortą o rzekomym zamiarze wyniszczenia pozostałych więźniów w najbliższym, okolicznym opuszczonym terenie podobozowym. Zawracanie naszej kolumny przez żandarmerię polową /i to dwukrotnie/ być może uniemożliwiło Niemcom dokonanie egzekucji. Jednak dążenia oprawców były nadal aktualne, chcieli się nas jak najprędzej pozbyć, aby samemu szukać ratunku w ucieczce. Postanowiono zabić nas w zbliżającym się lesie. Nasza grupa mogła już liczyć tylko około dwustu więźniów, kolumna rozciągała się na długości pięciuset metrów, odstępy między wozami były różne, siła ludzi ciągnących wozy słabła, więźniowie padali ze zmęczenia, szosa wiodła pomiędzy polami. My, z pierwszym wozem minęliśmy krzyżówkę dróg i znaleźliśmy się na drodze, wzdłuż której ciągnął się las. Przez cały czas towarzyszyły nam wybuchy eksplozujących pocisków artyleryjskich. Kiedy doszliśmy do lasu z bocznej drogi wyjechały czołgi radzieckie. Wielkim brzękiem gąsienic i wystrzałami z działek wprowadzili zamęt wśród eskortujących nas esesmanów, ci, co byli przed krzyżówką, zostawiając wszystko wskoczyli do samochodów ciężarowych wracających prawdopodobnie z linii frontu. Nasza eskorta, ponieważ byliśmy za krzyżówką, krzykiem wpędziła nas do lasu, znajdującego się w odległości około trzydziestu metrów, pozostawiając wóz na drodze. W lesie rozeszliśmy się po większym obszarze. Znalazłem się w grupie liczącej około ośmiu więźniów w pobliżu zagajnika, do którego schroniliśmy się. Tymczasem od strony szosy dochodziły nas szczęki gąsienic i strzelanina, a po około dwudziestu minutach nastała cisza. Czekałmy jeszcze godzinę - cisza trwała nadal. Dwóch z nas postanowiło pójść na drogę, aby przeprowadzić wywiad i powrócić do czekających współtowarzyszy z wiadomościami. Ponieważ mówili dobrze po niemiecku wierzyliśmy w to, że misję wypełnią bezbłędnie. My natomiast w wielkim skupieniu, zachowując nadzwyczajną ostrożność oczekiwaliśmy ich powrotu. Czas dłużył nam się okropnie, po upływie około dwóch godzin

powrócili z wiadomościami na ogół pomyślnymi, że nikogo nie spotkali. Byli tam tak długo, ponieważ grzebali znanego zabitego kolegę z obozu, którego znali jeszcze z okresu wolności. Bardzo zdziwiło ich to, że zabity leżał tak, jakby szedł w stronę drogi, a kula przeszła mu tył głowy. Nikogo więcej w lesie nie spotkali.

Po przyniesieniu przez kolegów takich wiadomości postanowiliśmy opuścić zagajnik i wyjść na drogę. Wyszliśmy więc śmiało z zagajnika i przez las ruszyliśmy w stronę drogi. Romawialiśmy ze sobą półgłosem i nagle zobaczyliśmy idących naprzeciw nas dwóch uzbrojonych w karabiny maszynowe esesmanów. Znajdowali się w odległości około sześćdziesięciu metrów i wzywali nas do zatrzymania się. Zaskoczenie było nagłe. Momentalnie, odruchowo zawróciliśmy do tyłu i uciekaliśmy w głąb lasu. Esesmani puścili do nas serię z karabinu maszynowego. Czy któregoś z naszych trafili nie wiem, bo nikogo później z tej grupy nie spotkałem.

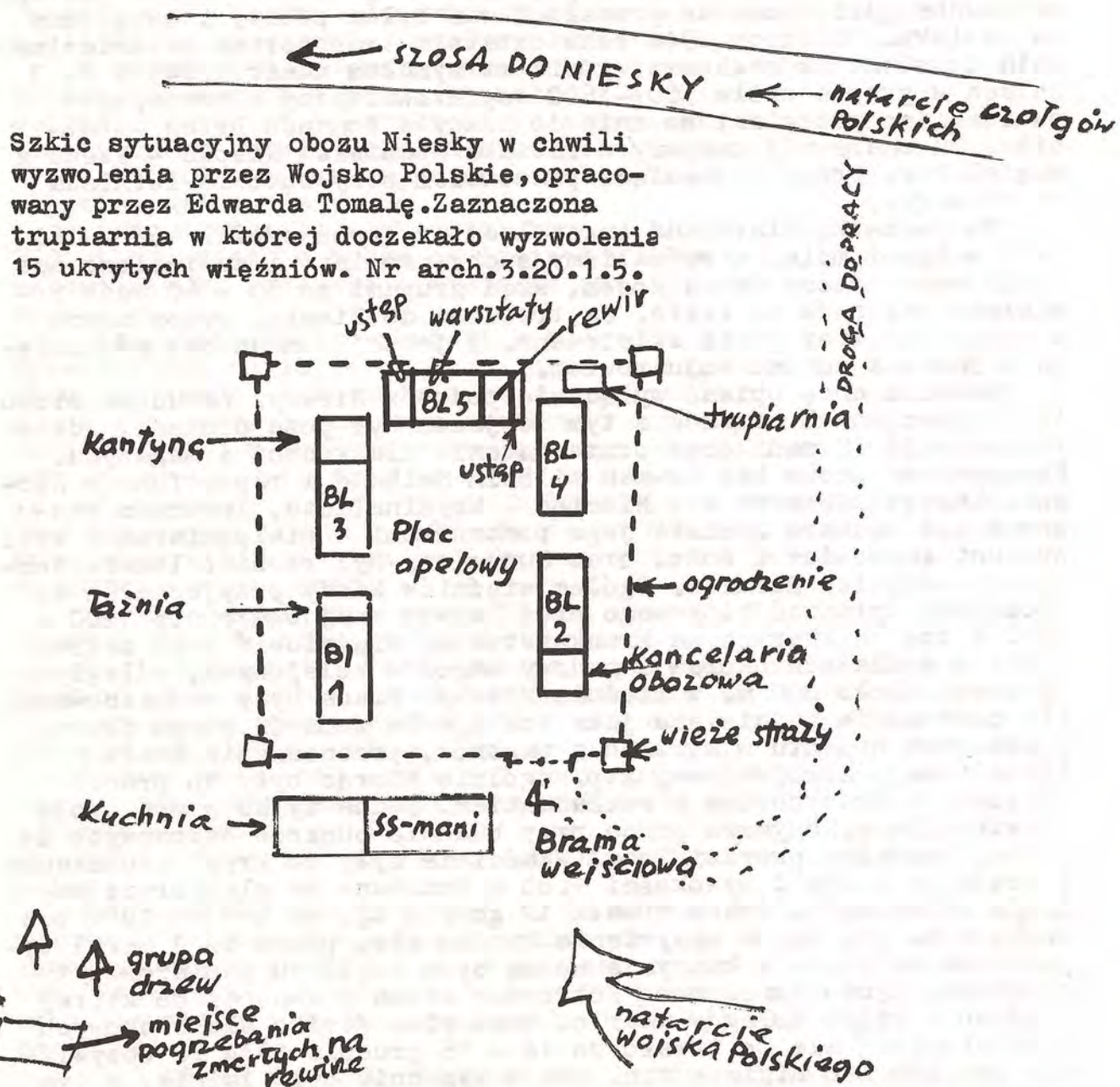
Uciekałem tak bardzo szybko, mimo osłabienia, że nogi nie nadążały za głową. Byłem bliski upadku nosem w ziemię, ale równowagę utrzymałem. Pomyślałem o tym, że esesmani, chodząc po lesie, każdego napotkanego więźnia uśmiercali strzałem w tył głowy. Po przebiegnięciu w takim naprężeniu kilkudziesięciu metrów zatrzymałem się w ciszy dużego lasu. Byłem zdezorientowany. Nie wiedziałem w jakim kierunku znajduje się wyzwolencza szosa. Stanałem przed dylematem, co dalej robić. Iść - nie wiem dokąd. Stać - nic mi to nie da, a bardzo bałem się spotkania z zabójcami esesmanami. Zdecydowałem się iść byle dalej przed siebie, lecz po chwili zatrzymał mnie szelest i stąpanie po łamiących się pod nogami gałęziach. Zatrzymałem się, nadsłuchując - szelest i stąpanie ustaje, idę dalej - powtarza się to samo. Zatrzymałem się na dłużej wpatrzony w stronę szelestu i ku wielkiemu szczęściu zobaczyłem wychylającą się głowę naszego lekarza obozowego dr Żychskiego. I już razem, szczęśliwie /on znał język niemiecki/, po jakimś czasie drogi przemierzonej z wielką ostrożnością, wyszliśmy na tę samą drogę - lecz trochę dalej - skąd nadciągnęły zbawienne czołgi radzieckie. W lesie panowała już cały czas cisza. Pewnie wyszliśmy na szosę i skierowaliśmy się w stronę "wolności". Tym pewnym krokiem długo nie naszliśmy. Z lasu zaczęły padać w naszą stronę pociski karabinowe. To esesmani pozostający w lesie próbowali odebrać nam jeszcze życie. Zmuszeni zostaliśmy do zejścia z drogi i dalej, chyłkiem, rowem przydrożnym po przeciwnej stronie zaczęliśmy oddalać się od tego miejsca. Przeszliśmy tak może ze czterysta metrów i tak jakby na nasze spotkanie ukazał się, jadący drogą radziecki samochód pancerny. Obsłudze samochodu opowiedzieliśmy naszą przygodę, wskazując las, w kierunku którego zaraz pojechali. My natomiast dotarliśmy do odległego o jakieś dwa kilometry miasteczka wskazanego przez pancernych i tam zastaliśmy już więcej wojska i naszych polskich żołnierzy. Miasteczko było wyludnione. Znaleźliśmy w nim ubrania cywilne, trochę pożywienia i staraliśmy się odpocząć po przeżyciach.

Niedługo jednak dane nam było odpoczywać. Miasteczko położone było w sąsiedztwie lasu, z którego niespodziewanie wyrzucił się niemiecki czołg wywiadowczy i zanim zdążono odwrócić w jego stronę działko pancerne czołg zawrócił i znikł w lesie. Powstały alarm zdecydował, że tej jeszcze nocy pod osłoną trzech

czołgów opuściliśmy miasteczko i marszem, a była nas dość liczna grupa, bo i cywile dołączyli się do nas, przedarliśmy się przez pozycję frontu niemieckiego. Zaskoczeni z tyłu Niemcy, zrobili wielką wrzawę i wybuchła strzelanina. Okazało się, że zostaliśmy wyzwoleni przez jednostkę zwiadowczą polsko-radziecką, która przerwała front niemiecki i znalazła się na jego tyłach. Było to w okolicach Bautzen.

Tak nastąpiło moje wyzwolenie z obozu koncentracyjnego w Nieske w dniu około dwudziestego trzeciego kwietnia 1945 roku. Zaraz po tym, niezagrożony przez nikogo wróciłem do Warszawy.

Nr archiwum Gross-Rosen 3.20.3.4.



PAMIĘTNIK Z NIESKY

Pracowałem na przymusowych robotach w fabryce samolotów "Junkers" w Köthen in Halle. Gdy 10 października 1941 roku uciekłem z przymusowych robót ukrywałem się przed policją niemiecką w Warszawie przez dwa lata. Jednak 12 kwietnia 1944 roku aresztowano mnie w mieszkaniu mojej matki i przewieziono do gestapo na Szucha gdzie podczas przesłuchiwań byłem pobity i uwięziony na Pawiaku. 30 lipca 1944 roku ostatnim transportem przewieziono mnie do obozu Gross-Rosen, gdzie otrzymałem numer 12049 i po 3 dniach w grupie około 500 - 600 współtowarzyszy z transportu pawiackiego przewieziono mnie do pracy w Komando Brieg - Pam-pitz. Tu zmarł mój znajomy z Pawiaka Stanisław Rzepka - Szewc z Mogielnicy. Przez 3 miesiące pracowałem przy budowie lotniska wojskowego.

Na początku listopada Lagerältester Nocoń wybrał 150 - 160 osób w tym i mnie, otrzymaliśmy suchy prowiant i zawieziono nas do głównego obozu Gross-Rosen, skąd grupami po 50 - 60 osób rozieszano nas znów na filie. Ja trafiłem do Niesky, pozostałych z grupy nie wiem gdzie skierowano. W jednej z nich był mój kolega z Pawiaka Antoni Wojnarowicz.

Obecnie chcę opisać wyłącznie podobóz Niesky. Zabudowa obozu to 6 drewnianych baraków z tym że jeden był poza drutami, gdzie kwaterowali SS-mani oraz pomieszczenie dla kuchni i magazynu. Komendantem obozu był SS-man Wilhelm Seibold i raportführer Kirsch. Lagereltesterem był Niemiec - kryminalista, lekarzem obozowym był Leonard Żychski jego pomocnikami - pielęgniarzami byli Zygmunt Amanowicz z Łodzi oraz Surowiec. Był również lekarz dentysta - więzień Niemiec. Ogółem więźniów kiedy przyjechałem do obozu w/g wyliczeń blokowego nr.4 Patyny znajdowało się 1200 - 1250 w tym 18 chorych na krank-sztubie. Więźniowie byli zatrudnieni w zakładach napraw i budowy wagonów kolejowych, odległych od obozu około 800 m. w mieście Niesky. Prace były zróżnicowane, ale przeważnie najcięższe jak: rozbijanie zamrożonego żwiru, rozładunek cementu w workach z wagonów, przenoszenie stali kształtowej, zbrojeniowej itp. ogólnie biorąc były to prace związane z transportem i rozładunkiem. Jedną tylko grupą około 50 więźniów wykonywała prace przy budowie bunkrów betonowych do której zostałem przydzielony. Właściwie były to kręgi studienne o średnicy 2.00m i wysokości 1.80 m budowane na platformie wagonów kolejowych. Praca trwała 12 godzin tj. od 6⁰⁰ do 18⁰⁰ bez względu na pogodę, a wyżywienie bardzo złe, płaca to 3 marki tygodniowo za które w kantine można było kupić 10 papierosów tygodniowo, dynię konserwową /okropnie słona i kwaśna/ po której zjedzeniu kilku kolegów umarło, oraz piwo /tylko dla blokowych i sztubowych/ ale to trwało do 14 - 15 grudnia 1944 r. Oczywiście zadbano i o higienę tzn. raz w tygodniu była kąźnia, z tym że nie zdążyłeś się umyć a już wypędzano na dwór, bo czekała następna grupa.

Traktowanie więźniów przez komendanta oraz blokowych w czasie pobytu w obozie było okrutne. Oto przykład: każdy z nas chciał mieć w czasie odpoczynku po pracy na bloku trochę ciepła /były piece 2 na blok/ więc przy pracy w fabryce można było kilka drewnianych schować i przenieść do obozu, lecz na bramie wejściowej byliśmy kontrolowani /częściowo/ u którego znaleziono drewno otrzymywałem 10 desek /od ławki/ na apel na tyłek, to samo dotyczyło worków po cementie które więźniowie wkładali na siebie dla ocieplenia. Jednego dnia w styczniu 1945 r. zostałem zatrudniony przy transporcie żywności do kuchni oraz Jerzy Tomborek i Stanisław Kowalski z Radomia. Po skończonej pracy mieliśmy wrócić na bloki, już wychodziliśmy z magazynu gdy zjawił się SS-man Rapportführer Kirsch, kazał nam się zbliżyć, po czym rewidował. Ja nie miałem nic i Kowalski, ale Jurek wziął kilka kartofli i jeszcze coś. Kirsch odprowadził Jurka za barak kuchenny i usłyszeliśmy tylko strzał. Tomborek Jerzy na blok nie wrócił.

W lutym 1945 r. przy rozładunku wagonu z cementem wskutek silnego zmęczenia i głodu wypadłem z workiem na tory kolejowe doznając kontuzji kręgosłupa. Po przeniesieniu do obozu zostałem otoczony opieką lekarza ob. Żychskiego, któremu zawdzięczam życie. Dopiero przebywając na krank-sztubie zobaczyłem jak dużo więźniów umiera dziennie.

Kiedy nastąpiła ewakuacja obozu z 1200 - 1250 zostało 700 - 750, a przecież ja byłem od listopada 1944 roku do ewakuacji 3 marca 1945 r. zaledwie 4 miesiące czyli w tym czasie umarło 500 więźniów.

Byłem świadkiem ewakuacji w której nie brałem udziału, ponieważ byłem na izbie chorych, zaczęła się ona rano, byłem zaskoczony tym że lekarza nie ma z chorymi lecz z więźniami na placu apelowym. 3 dni temu rozebrano ściankę działową między izbą chorych, a następnym pomieszczeniem, powiększając w ten sposób metraż szpitala. Zadaniem lekarza było wybrać na apelu tzw. muzulmanów którzy by nie byli zdolni do przebycia ewakuacji. Razem z nowymi chorymi było nas teraz 62. Chorymi miał się opiekować Zygmunt Amanowicz, a lekarz i Surowiec zostali włączeni do grupy ewakuacyjnej.

Dla ochrony obozu został SS-man przezywany przez więźniów "Łapka" oraz 3 wachmajstrów i 1 kobieta na kuchni.

Po dwóch tygodniach z ewakuacji przybyło około 22 więźniów chorych na tyfus a z krank-sztuby zabrano 14 zdrowszych chorych do transportu ewakuacyjnego. Niestety ci co przybyli do obozu zaczęli gwałtownie umierać tak że po tygodniu nie został żaden. Trupiarnia która nie mogła już pomieścić zmarłych musiała być opróżniona, wtenczas "Łapka" wybrał 4 chorych dał im łopaty i poszedł z nimi do pobliskiego lasu oddalonego od obozu 300 m. Wykopano 2 doły 2x2 m. głęb. 1.50 m. tam pochowaliśmy 39 więźniów.

Na początku kwietnia 1945 r. na miasto Niesky zaczęły się naloty samolotów Radzieckich, ponieważ nie wszystkie bomby wybuchły, część pozostawała na dachach fabryk. Do zdejmowania ich "Łapka" brał 6 chorych którzy na linkach podawali je żołnierzom niemieckim, za co otrzymywali 1 miskę zupy więcej i po 1 papierosie.

Z 11 na 12 kwietnia zaczęła się kanonada "Katiusz" które przelatywały nad naszym obozem a wybuchły gdzieś w Niesky, rano

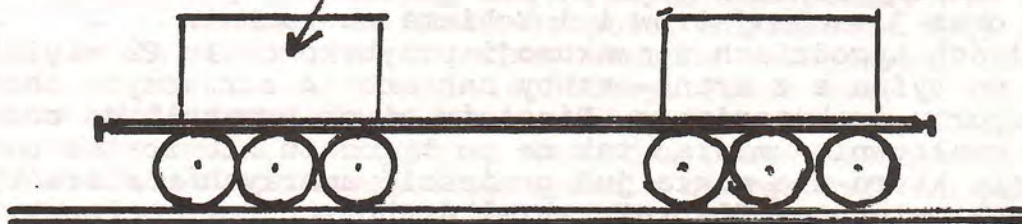
wdrapałem się na dach baraku i leżąc na brzuchu miałem obserwować co dzieje się wokół nas, było to polecenie Amanowicza. Około 9⁰⁰ na szosę wjechały 3 czołgi a na nich białe orły, one nie jechały a pędziły na miasto. Amanowicz kazał mi zejść, gdy byłem już na ziemi i opowiadałem co widziałem, na barak gdzie znajdowała się krank-sztuba zaczęły padać pociski. Schowaliśmy się do trupiarni która była w ziemi, po wyjściu zobaczyliśmy zniszczoną część baraku a po chorych ani śladu, natomiast przy bramie wejściowej i przy baraku SS-manów i kuchni Wojsko Polskie. Tak zostałem wyzwolony z obozu koncentracyjnego filii Gross-Rosen komando Niesky wraz z 15 więźniami którzy schronili się do trupiarni. Byli to: 8 polaków, 5 Rosjan i 3 jugosłowian.

Nazwiska które pamiętam z ocalenia: Amanowicz Zygmunt, Kowalski Stanisław, Gałaska Stanisław. Nazwiska kolegów z obozu: Blokowy Czerwiński, Fajerko Zbigniew, Kaczmarczyk Kazimierz, Malinowski Stefan, Zyśk Władysław, Kuca Franciszek.

Powracając do domu otrzymaliśmy od Komendanta Wojskowego zbiorową przepustkę Nr 78/45 Nr poczty polowej 52/60, którą zatrzymał Zygmunt Amanowicz. Zmarł po wyzwoleniu.

Nr archiwum Gross-Rosen 3.20.3.5.

Na takich wagonach więźniowie budowali
betonowe kręgi wysokie 1,8 m o średnicy 2 m.



Szkic opracował Edward Tomala

Nr archiwum Gross-Rosen 3.20.1.6.

Z KOMANDO NIESKY - DO WOLNOŚCI

W październiku 1943 roku zostałem wywieziony na roboty przymusowe do Wasermünde. Tam też zostałem aresztowany na skutek donosu o mojej działalności w Armii Krajowej na terenie dzielnicy Dębiec w Poznaniu.

Po pierwszych przesłuchaniach przez poznańskie gestapo w Domu Żołnierza, trwających po 6 godzin przez 2 dni nie miałem kawałka zdrowego miejsca na ciele. Po tym 3 miesiące w "celi śmierci" Fortu VII, a następne 3 miesiące w obozie karno - śledczym w Żabikowie. Od 23 czerwca 1944 roku zostałem więźniem obozu koncentracyjnego Gross-Rosen, otrzymując numer - 1700 - po dawniej zmarłym więźniu.

W lipcu 1944 roku odtransportowano mnie do pracy w komando Niesky. Pracowaliśmy po 12 godzin, a jedzenie otrzymywaliśmy gorsze od bardzo złego.

Więźniów zmarłych z wycieńczenia lub zakatowanych składano na stos za ustępami, a raz w tygodniu - w soboty, ładowaliśmy zwłoki na wóz i wywoziliśmy do lasu, gdzie grzebano ich w jednym dole po 20, a czasami do 50 trupów.

W lutym 1945 roku obóz został ewakuowany. Zaprzęgnięci do wozów z dobytkiem gestapo przez tydzień ciągneliśmy o jednym bardzo skromnym posiłku, a słabych i chorych rozstrzeliwano po drodze. Wreszcie zatrzymaliśmy się we wsi Brandhofen w stodole. W dzień pędzili nas do kopania okopów, a po pracy zaraz zamykali w tej stodole z której nie można było wychodzić za swoją potrzebą. Wszystko załatwiało się tam gdzie się spało, a w efekcie czego, już po paru dniach pojawiły się tak ogromne masy myszy, że słoma na której spaliśmy się ruszała. Karmiono nas trawą /siano/ mieszaną z trocinami.

W połowie kwietnia wraz z 40 kolegami byłem załadowany do samochodu i przywieziono nas do obozu w miejscowości Bautzen. Tam przed bramą obozu esesman kazał pierwszej czwórce się rozebrać i gdy zobaczył te szkielety ludzkie pogryzione przez myszy i ich niezliczone ilości, to z miejsca skierowano nas do łaźni, a ubrania do dezynfekcji. W łaźni zaraz zmarło czterech kolegów, a resztę umieścili w specjalnym baraku który w obozie był jeszcze raz ogrodzony płotem z drutu kolczastego. Jedzenie dostawaliśmy raz dziennie - gęstą wodę, którą podawano w kociołku na długim kiju. Nikt do nas nie wchodził, bo byliśmy wszyscy chorzy na tyfus. Tak leżeliśmy parę dni razem, żywi i umarli.

Pewnego ranka, prawdopodobnie 20 kwietnia zobaczyliśmy że obóz jest pusty a po krótkim czasie wjechały czołgi radzieckie które przyniosły nam wolność. Lecz nie na długo. Resztkami sił zeszedliśmy z prycz a było nas już tylko ośmiu. Schwyciliśmy się za czołgi i razem przy ich pomocy weszliśmy do miasta które Niemcy opuścili. W mieście z kolegą Jankiem pierwsze kroki skierowaliśmy do piekarni gdzie najedliśmy się bułek. Potem przebraliśmy się w cywilne ubrania bo nasze pasiaki już się nie nadawały

do noszenia. Na drugi dzień rano poszukaliśmy sobie rowery ale wsiąść na rower nie mieliśmy siły więc je prowadziliśmy. Ruszyliśmy w kierunku Polski, lecz już po paru kilometrach zatrzymał nas żołnierz Polski i kazał nam się zatrzymać w tej wiosce, bo Niemcy przerwali front, więc mamy tu przeczekać. W tej wiosce nie było nikogo tylko dwie polskie rodziny, które zostały tu wywiezione na roboty i z nimi zamieszkaliśmy. Na drugi dzień poczułem się bardzo słabo, miałem 41 stopni gorączki, więc położyli mnie do łóżka. Wiele dni leżałem. Ile nie wiem bo straciłem pamięć. W tym czasie Niemcy powrócili do wioski i pewnego ranka trzech gestapowców otoczyło dom. Kazano wszystkim wyjść, a to z tego powodu bo wrócili też właściciele tego domu i oni zameldowali na gestapo że w ich domu śpi żołnierz Polski. Wszystkich zostawiono, a mnie zabrali za stodołę, kazano mi zdjąć marynarkę i koszulę, a gdy zobaczyli że na szyi mam tabliczkę z numerem obozowym 1700 kazali mi się ubrać i wrócić. Po dwóch dniach ogłoszono ewakuację i tak nas prowadzono dwa dni. Noc spędziliśmy w schronie browaru, a gdyśmy rano się obudzili Niemców już nie było, a na ulicy zobaczyliśmy pełno Wojska Polskiego. To już był dzień prawdziwej wolności.

Nr. archiwum Gross-Rosen
3.20.3.8.

W GROSS-ROSEN I NIESKY

Do obozu koncentracyjnego dostałem się po aresztowaniu w połowie lipca 1943 roku, za przejście nielegalne granicy. Przez straż graniczną zostałem przekazany do gestapo do Warszawy co miało miejsce około 19 lipca 1943 roku. Po przesłuchaniach na ulicy Szucha w Warszawie, przetransportowany zostałem na Pawiak, w którym to więzieniu przesiedziałem do 18 września 1943 roku i stąd przewieziono mnie dalej do więzienia na ul. Rakowiecką. Jak się później dowiedziałem, otrzymałem zaocznie wyrok 8 miesięcy więzienia. Wyrok ten odsiedziałem i w kwietniu 1944 roku zostałem ponownie zabrany z więzienia przez gestapo i osadzony w więzieniu na Pawiaku.

Z Pawiaka w dniu 2 lipca 1944 roku zostałem przetransportowany już do obozu koncentracyjnego w Gross-Rosen. Najpierw zostaliśmy przewiezieni samochodami krytymi na stację kolejową, chyba to były Odolany, załadowano nas do wagonów towarowych, ubijając jak śledzie w beczce i tak po prawie całej dobie dotarliśmy do stacji w Gross-Rosen. Transport ten liczył ponad 1200 więźniów. W Gross-Rosen, już wchodząc do obozu, zostaliśmy jak na ironię przywitani przez orkiestrę obozową i na placu apelowym po kilku godzinach oczekiwania odebrano od nas resztę osobistych rzeczy. Następnie popędzono nas do baraku łaźni, gdzie pozbawiono nas reszty osobowości przez ostrzyżenie głów, golenie i dezynfekowanie, potem przebrani zostaliśmy w więzienne pasiaste ubrania i nadano każdemu z nas numerację obozową. Od tej chwili już władze obozowe posługiwały się tylko naszymi numerami.

Pod wieczór zostaliśmy rozlokowani w różnych barakach zwanych blokami; ja zostałem przydzielony do bloku nr 9, z którego po okresie około tygodnia przeniesiony zostałem na blok nr 21. Na bloku nr 21 już niby warunki bytowania zdawałoby się lepsze, bo spaliliśmy na piętrowych pryczach, choć po dwóch na jednym, ale nie jak na bloku nr 9 na podłodze. Tu mieliśmy już sienniki i po jednym lichym kocu. Wyżywienie było bardzo skromne, składało się z małej kromki czarnego chleba i 1/2 litra czarnej gorzkiej niby kawy na śniadanie. Obiad mała miska zupy wodnistej z brukwi lub innych bydlęcych jarzyn, łącznie z liśćmi buraczanymi, bez okras. Kolacja podobna jak na śniadanie. Na tym bloku przebywałem do końca sierpnia 1944 roku, chodząc do różnych robót wyznaczanych każdorazowo na terenie obozowym.

Z końcem sierpnia sformowany został transport do podobozu Niesky, składający się z około 1000 więźniów. Tu jako pierwsi w nowo założonym obozie zostaliśmy zatrudnieni w fabryce. Teren obozu był dużo mniejszy od zajmowanego przez obóz w Gross-Rosen i miał tylko 5 baraków. Wywarło to na mnie korzystniejsze wrażenia i poprawiło samopoczucie. Jednak, jak się później okazało, pobyt dalszy nie był taki lekki, gdyż ciężka 10-cio godzinna praca w fabryce wyczerpywała organizm a wyżywienie nie różniło się od wyżywienia w Gross-Rosen. W fabryce pracowałem jako stolarz przy przebudowie

wagonów kolejowych na dostosowane do obrony przeciwlotniczej, zaopatrzone w karabiny maszynowe i działka, z obsługą zabezpieczoną opancerzeniem. Do pracy i z powrotem byliśmy prowadzeni pod eskortą esesmańską i pilnowani cały czas podczas pracy. W samym obozie byłem umieszczony w baraku nr 2. Nazwiska blokowego również więźnia nie pamiętam, lecz tylko wbiło mi się w pamięć postępowanie szubowego, który wybił mi zęby bez specjalnych powodów a jedynie za to, że upomniałem się o wydanie na kolację gorącej kawy, która stała obok, podczas gdy wydawał nam kawę zimną. Szubowym był więzień imieniem Marian, nazwiska jego nie pamiętam. W fabryce pracowałem do momentu ewakuacji obozu, którego likwidacja nastąpiła gdzieś pod koniec lutego 1945 roku.

Na 5-ciu wozach ciągniętych przez więźniów załadowana była żywność, sprzęt i inne sprzęty obozowe. Więźniowie - a było nas około 800, część pozostała chorych w obozie - szli w kolumnach pieszych. Ze zmęczenia, przeziębienia, niedożywienia więźniowie nękanii byli panującą krwawą dezynterią, opadali z sił i byli dobijani strzelaniem z pistoletów przez esesmanów na drodze i grzebani w przypadkowych miejscach przy polnych drogach. Noclegi często odbywały się w przypadkowych stodołach. Dłuższe zakwaterowanie bo około 3-tygodni, mieliśmy w jednym z gospodarstw, w dwóch stodołach na barłogach ze słomy, która po kilku nocach na skutek nie wypuszczania w nocy więźniów za potrzebami fizjologicznymi stała się obornikiem. W czasie całej tej ewakuacji, oprócz nękania chorobami dodatkowo bardzo dokuczały nam insekty. Każdego ranka wynosiliśmy do grzebania po kilkanaście trupów, z których ubrania, względnie jeszcze całe, wymieniali inni żyjący, po czym już gołe zwłoki wywożono do pobliskiego lasu i grzebano, a zauszne łachy spalano na miejscu. Podczas całego marszu byliśmy zatrudniani do różnych robót przy okopach i rowach przeciwlotniczych i pancernych.

Zbliżenia się frontu i wojsk radzieckich, zmusiło do dalszego ewakuowania nas i po kilku dniach około 20 kwietnia 1945 roku zostaliśmy wyzwoleni przez wojska radzieckie w pobliżu miasta Bautzen. Z oddziałami radzieckimi były i oddziały polskie, które stanowiły wypadową czołową grupę zwiadowczą. Chwila ta była dla nas wielkim wydarzeniem, które już zdawało się nam odsuwać groźbę śmierci, gdyż podczas ewakuacji w marszu dochodziły nas słuchy o zamierzeniach likwidacji całej naszej grupy w najbliższym opuszczonym dawnym obozie na tym terenie.

Czołgi wybawców podjechały do naszej kolumny, którą w panice opuściła część eskortujących nas esesmanów. Ja, będąc w grupie więźniów ciągnących pierwszy wóz, znalazłem się na skraju lasu, poza krzyżówką. Zostaliśmy zepchnięci przez tą część eskortujących nas esesmanów do tego lasu. W czasie silnej strzelaniny i zamieszania w lesie udało mi się z małą grupką naszych, odsunąć się dalej w bok w lesie i pozostać w ukryciu. Strzelanina trwała niezbyt długo i po jej ustaniu, w krótkim czasie może po 2-ch godzinach wyszliśmy z lasu, kierując się w stronę skąd przyjechały czołgi. Stanowiliśmy grupkę około 23 więźniów. Zobaczyliśmy trzech więźniów zabitych, których rozpoznaliśmy; byli to koledzy z bloku 4 blokowy Patyna, z bloku 5 Wachowiak i szubowy, ale już nie pamiętam z którego bloku. Poszliśmy dalej szosą. Po przejściu około 3 kilometrów, zobaczyliśmy z oddali, że drogą idą nasi więźniowie w grupce około 7. Prowadzeni byli przez trzech esesmanów. Widząc ich, zawróciliśmy w stronę pobliskiego lasu, ale zostaliśmy zauważeni i Niemcy otwo-

rzyli do nas ogień z automatów. Z tego incydentu pozostało nas tylko 22, bo jeden został zabity. W tym lesie, idąc już dalej, natknaliśmy szlak kolejowy na wysokim nasypie, a nie widząc co się z drugiej strony dzieje, pojedynczo przeczołgiwaliśmy się na drugą stronę torów i zobaczyliśmy małą wioskę. Nie wiedząc co się w tej wiosce dzieje, przeleżeliśmy w rowie przytorowym aż do zmroku i po ciemku, zmoczeni i zziębnięci, bo padał w tym czasie deszcz, weszliśmy do najbliższej stodoły. Zagrzebani w słomę i siano z myślą, że nadejdą już wojska wyzwolencze, czekaliśmy do następnego dnia. I tak przesiedzieliśmy tam o głodzie trzy dni. W trzecim dniu zostaliśmy zauważeni przez Niemkę z tego gospodarstwa, która zawiadomiła wojsko stacjonujące w tej wiosce, bo jak się okazało, był to pas przyfrontowy. W między czasie niektórzy z nas bardziej niecierpliwi wychodzili ze stodoły i na swoją rękę poszli dalej. Co się z nimi dalej stało, nie wiem, gdyż już więcej ich nie widziałem. Do końca ze mną pozostało tylko 9-ciu więźniów, i nas właśnie wojsko odstawiło do pobliskiego miasteczka i osadzono w miejscowym więzieniu. Po trzech dniach przewieziono nas na drugą stronę Łaby i tu dołączono nas do grupy więźniów z obozu Buchenwald, którzy byli w ewakuacji i razem z nimi rzeką Łabą płynęliśmy barkami w kierunku Czechosłowacji. Na tych właśnie barkach zostaliśmy wyzwoleni. Był to dzień 8 maja 1945 roku.

Po wyzwoleniu, już jako ludzie wolni poszliśmy do najbliższego miasteczka na terenie Czechosłowacji. Tutaj rozchorowałem się podobnie jak drugi z kolegów. Przez lekarzy rosyjskich zostaliśmy umieszczeni w szpitalu polowym, w którym przebyłem chorobę duru brzuszego. Dopiero około 15 czerwca 1945 roku powróciłem do domu.

Na ogólną ilość więźniów, która przebywała w obozie w Niesky ze stanu 1200 na początku jego istnienia, wolności doczekało według mojego rozeznania tylko niewiele ponad sto osób.

Nr archiwum Gross-Rosen 3.20.3.7.

II ARMIA WOJSKA POLSKIEGO UWALNIA WIEŹNIÓW NIESKY

Na kierunku Rothenburg - Niesky - Drezno nacierały 8 i 9 dywizje piechoty, wchodzące w skład 2 armii Wojska Polskiego. Wieczorem 17 kwietnia 1945 roku, po przełamaniu pozycji wojsk hitlerowskich w rejonie Horka, 28 pp - jako lewoskrzydłowy 9 DP - doszedł do przedpola umocnień otaczających powiatowe miasteczko Niesky /w języku łużyckim: Niska/. Ze względu na późną porę, po nawiązaniu styczności ogniowej, pułk zajął stanowiska obronne na zachodnim skraju pobliskich lasów.

O świcie 18 kwietnia rozpoczęło się natarcie. Na północną część miasta nacierał 1 batalion, na środkową - wzdłuż toru kolejowego - 3 batalion. Na południową część miasta nacierał 32 pp z sąsiedniej 8 DP. Natarcie piechoty wspierały czołgi i działa przeciwpancerne.

Zaciekła walka o miasto trwała niemal przez cały dzień, gdyż hitlerowcy skupili tu poważne siły piechoty i artylerii, wsparte czołgami i artylerią pancerną, a ponadto w walce brały udział również liczne grupy uzbrojonych osób cywilnych. Teren był dobrze umocniony, wiele budynków wykorzystano do zorganizowania punktów oporu, zasadzek itd. W początkowym okresie natarcia polskie oddziały były bombardowane przez hitlerowskie lotnictwo.

W zaciętych walkach o Niesky sam tylko 28 pp stracił w zabitych, rannych i zaginionych 8 oficerów, 18 podoficerów i 52 szeregowców.

Pierwszą wiadomość o istnieniu w mieście obozu koncentracyjnego przynieśli zwiadowcy 28 pp, którzy w nocy z 17 na 18 kwietnia prowadzili rozpoznanie przedpola pod dowództwem chor. Michała Hawryluka. Faktycznie zaś wolność pozostałym przy życiu więźniom przyniósł 1 batalion 28 pp pod dowództwem mjr. Kazimierza Griniewicza. Oto relacja z tego epizodu działań 28 pp, opisana przez ppor. rez. Romana Dobromilskiego ówczesnego dowódcy plutonu rusznic przeciwpancernych w 1 batalionie:

"...Przed frontem lewoskrzydłowych pododdziałów rozciąga się dość duży czworobok terenu zabudowanego barakami i gęsto ogrodzonego drutem kolczastym. Wzdłuż ogrodzenia sterczą wieżyczki strażnicze, tworzące posterunki o zazębiających się i wzajemnie uzupełniających się polach obserwacji. Nie ulega wątpliwości, że to obóz koncentracyjny. Wygląda jak wymarły. Uliczki między barakami puste. Nie można dostrzec żadnego ruchu ani żywej duszy.

Niepokojące myśli nurtują umysł. "Co dzieje się teraz tam za drutami? Co oznacza ta panująca tam cisza? Czy obóz jest pusty, czy też są tam jeszcze głodni, wynędzniali ludzie, na których plecy być może jeszcze wczoraj spadały uderzenia esesmańskich pejców, kopniaki podkutych butów? Co zastaniemy tam, czy oczekujących wyzwolenia więźniów, czy ujrzymy tam martwą pustkę?"

Pomimo prowadzonego przez nieprzyjaciela ognia wykonujemy coraz szybsze i dłuższe skoki. Spore odcinki terenu po prostu przebiegamy. Byle prędeej, byle szybciej dopaść tego, co jeszcze przed paru godzinami było piekłem, miejscem cierpienia i kaźni co najmniej paruset ludzi. Jeszcze chwila i jesteśmy przy wejściu. Zamknięte! Masywna brama mocno trzyma, po kilku jednak minutach ulega naporowi. Po prostu wywalona ustępuje z trzaskiem i zgrzytem. Jako jedni z pierwszych wpadamy na niewielki plac /zapewno - apelowy/.

Obóz nagle ożywa! Z nędznych baraków wybiegają ku nam blade, wymizierowane postacie. Potem ukazują się dalsi, a nawet ci naj-słabsi, którzy tylko zdołali podnieść się ze swych prycz, wolno podążają ku nam. Rozlegają się radosne okrzyki powitania w kilku językach. Przeważnie polskie: "Witajcie!".

Scenę tę trudno opisać, a odtworzyć jej szczegóły również jest rzeczą niełatwą... Ci, którzy jeszcze przed chwilą byli więźniami niepewni swego losu i przygotowani raczej na najgorsze, są teraz wolni. Rzucają się nam na szyję, ściskają nas i całują. Czuje na swej twarzy szorstkie, zarosnięte policzki jakiegoś mężczyzny. Wkrótce potem obejmuje mnie już ktoś inny, a od tego przechodzę w ramiona następnego. I tak dalej! Niektórzy mają łzy w oczach, głos drży im ze szczęścia. Ten i ów skania się na nogach.

Ludzie ci, gdy ochłonęli trochę z pierwszego wrażenia, przypatrują się nam z pewnym zdumieniem, jakby nie wierzyli własnym oczom, że mają przed sobą polskich żołnierzy, że ich właśnie przed chwilą ściskali. Gdy utwierdzają się wreszcie w tym przekonaniu, wybucha nowa fala radości i wiwatów!

Polacy, Francuzi, Rosjanie, ludzie innych narodowości witają nas z ogromnym entuzjazmem, jako swych wyzwolicieli, którzy położyli kres ich udręce. Któryś z więźniów wpatruje się z przejęciem w orła na żołnierskiej konfederatce. Jego oczy wyrażają gorącą prośbę. Nie musi jej powtarzać słowami - żołnierz zrozumiał o co chodzi. Odpina więc od czapki orzełka i wręcza tamtemu upragnioną pamiątkę. Ten uratowany szuka gorączkowo czegoś, czym mógłby się odwdziżyć!

No, ale na nas czas! Uwalniamy się więc z niekończących się objęć i ruszamy dalej, nacierając w kierunku zabudowań miasta"..

Przeważnie byli to ludzie wyczerpani i bardzo schorowani, toteż od razu zaopiekowali się nimi żołnierze służby zdrowia 28 pułku piechoty i 40 pułku artylerii lekkiej.

Po udzieleniu uratowanym pierwszej pomocy większość tych ludzi skierowano dla dalszego leczenia do dywizyjnego 15 batalionu sanitarnego. Stąd najbardziej potrzebujących dłuższego leczenia skierowano do szpitali wojskowych 2 armii W.P. Niestety, nie zachowały się akta 15 bsan, z których można byłoby odtworzyć pełną listę tych byłych ocalonych więźniów obozu w Niesky.

Natomiast w toku opracowywania dziejów wojennych 9 dywizji piechoty przejrzałem zachowane w CAW akta archiwalne szpitali wojskowych 2 armii W.P. I w tych aktach natrafiłem na nazwiska kilkunastu osób cywilnych, przy których było zaznaczone, że byli to uwolnieni więźniowie obozu koncentracyjnego; przy większości tych nazwisk podano konkretnie nazwę obozu: Niesky. Oto jest lista tych osób z zachowanymi w aktach danymi personalnymi i lekarskimi.

- X 1. Czerwiński Wincenty s. Pawła, ur. w 1905 r. Adres rodziny: Zawiercie, ul. Wodna 15. Przebywał w 11 szpitalu chirurgicznym od 19.V.1945 r. /nr ewid. 937/. Zmarł 19.VI.1945 r. Pochowany w Wittichenau.
- + 2. Depta Józef, ur. w 1909 r. Przebywał w 20 szpitalu chorób wewnętrznych od 19.IV.1945 r. /nr ewid. 100/. Stwierdzono ogólne osłabienie. 15.V.1945 r. przekazany do szpitala 3299 w Poznaniu.
3. Drażycz Jura s. Mertoda/?, ur. w 1922 r. Przebywał w 20 szpitalu chorób wewnętrznych od 18.IV.1945 r. /nr ewid. 97/. Ranny, ogólne wycieńczenie. 23.IV.1945 r. przekazany do 24 szpitala zakaźnego /nr ewid. 119/. Wypisany ze szpitala 8.V.1945 r.
- + 4. Gembala Władysław s. Jana, ur. w 1916 r. Przebywał w 20 szpitalu chorób wewnętrznych od 20.IV.1945 r. /nr ewid. 108/. Ogólne osłabienie. Wypisany ze szpitala 5.V.1945 r.
5. Kolbel Andrzej. 24.IV.1945 r. przekazany z 9 szpitala chirurgicznego do 8 szpitala chirurgicznego. Wycieńczenie. Zmarł w dniu 25.IV.1945 r. /pozycja księgi zmarłych 67/.
- + 6. Madej Jan s. Karola, ur. w 1926 r. Przebywał w 24 szpitalu zakaźnym od 2.V.1945 r. /nr ewid. 149/. Gruźlica. Wypisany ze szpitala 18.V.1945 r.
- + 7. Majkowski Eugeniusz s. Tomasza, ur. w 1923 r. Adres rodziny: Warszawa, ul. Suzina 3. Przebywał w 24 szpitalu zakaźnym od 6.V.1945 r. Tyfus plamisty. Zmarł w dniu 18.V.1945 r. /poz. 158 księgi zmarłych/.
8. Nieczyn Stanisław s. Adama. Przebywał w 20 szpitalu chorób wewnętrznych od 13.V.1945 r. /nr ewid. 378/. Zmarł 14.V.1945 r. /zatrucie weronalem, przypuszczalnie samobójstwo/.
9. Pałac Witold s. Konstantego, ur. w 1921 r. Przebywał w 8 szpitalu chirurgicznym od 19.IV.1945 r. Ranny. Zmarł 26.IV.1945 r. /poz. 31 księgi zmarłych/.
10. Rękawiczny Marian s. Władysława. Adres rodziny: Dubno, ul. Stara 32. Przebywał w 9 szpitalu chirurgicznym /nr ewid. 261/. Gruźlica obustronna, wycieńczenie. Zmarł 13.V.1945 r. /poz. 59 księgi zmarłych/.
11. Rukiec Eugeniusz s. Eugeniusza, ur. w 1921 r. Adres rodziny: Warszawa, ul. Radzymińska 128 m 9. Przebywał w 20 szpitalu chorób wewnętrznych od 18.IV.1945 r. /nr ewid. 99/. Osłabienie, tyfus brzuszny. Przekazany 28.IV.1945 r. do 24 szpitala zakaźnego. Zmarł 2.VI.1945 r. /poz. 139 księgi zmarłych/.
12. Seidaszyn/?/ Abraham s. Reinharda, ur. w 1920 r. Przebywał w 24 szpitalu zakaźnym od 29.IV.1945 r. Czerwonka. Wypisany ze szpitala 4.V.1945 r.
13. Sochański Michał s. Jana, ur. w 1911 r. Przebywał w 24 szpitalu zakaźnym /nr ewid. 124/. Obrzęk głodowy. 26.IV.1945 r. przekazany do 20 szpitala chorób wewnętrznych /nr ewid. 228/. W dniu 15.V.1945 r. przekazany do szpitala w Poznaniu.
14. Stojanowicz Mirko s. Miła/?, ur. w 1922 r. Przebywał w 20 szpitalu chorób wewnętrznych od 18.IV.1945 r. /nr ewid. 98/. Ranny, wycieńczenie. Wypisany ze szpitala 29.IV.1945 r.
15. Szulc Ludwik s. Franciszka, ur. w 1897 r. Przebywał w 20 szpitalu chorób wewnętrznych od 3.V.1945 r. /nr ewid. 323/. W dniu 15.V.1945 r. przekazany do szpitala w Poznaniu.
16. Wojdatt Olgierd s. Edwarda, ur. w 1904 r. Przebywał w 20 szpitalu chorób wewnętrznych. Ogólne osłabienie. W dniu 2.V.1945 r. wypisany ze szpitala.

17. Wycieża Wojciech s. Piotra, ur. w 1927 r. Przebywał w 24 szpitalu zakaźnym /nr ewid. 125/. Gruźlica. Przekazany 3.V.1945 r. do 20 szpitala chorób wewnętrznych, a od 15.V.1945 r. do szpitala w Poznaniu.

Oprócz wymienionych tu znalazłem w ewidencji szpitali jeszcze następujące nazwiska osób, o których nie podano, że przybyły z obozu koncentracyjnego, a być może byli to jeńcy zabrani przez hitlerowców na roboty przymusowe do okolic, gdzie walczyła 2 armia W.P.

Szer. Kantorek Alfons s. Feliksa, żołnierz 28 pułku strzelców kaniowskich, w niewoli od 1939 r. Przebywał w 20 szpitalu chorób wewnętrznych od 29.IV.1945 r. Wycieńczenie wskutek wygłodzenia. W dniu 12.V.1945 r. przekazany do 3299 szpitala w Poznaniu.

/Francuz/. Kpr Crodeles/?/ Karol/Charles/ s. Karola, czołgi-
sta, wzięty do niewoli w 1940 r. na linii Maginota. W dniu 26.
V.1945 r. przekazany ze szpitala 28 chirurgicznego do 29 szpi-
tala chirurgicznego /nr ewid. 327/. Potłuczenie. Brak dalszych
danych o jego losie.

Ponadto w aktach 64 szpitala chirurgicznego w Bydgoszczy wykaza-
ny jest kpt. Kowalski Stanisław s. Ignacego, ur. w 1889 r., jako
były jeńiec offlag II C. Ranny 6.V.1945 r./?/. W dniu 19.VI.1945
r. przekazany do 68 szpitala chirurgicznego.

Pułkownik Edmund Ginalski w książce "Byliśmy nad Łabą" -
Wyd. MON - 1964 r. Warszawa opisał w skrócie o dziejach 28 puł-
ku piechoty. Nr archiwum Gross-Rosen 5.20.3.7. i 5.20.3.6.